

04.07.2011

**Liliana Sonik: CAŁY TEN ZGIEŁK**

## Trzeba politycznej ekwilibrystyki

Liliana Sonik: CAŁY TEN ZGIEŁK

Trochę infantylnie, trochę naiwnie wzruszyłam się w piątek. Tak, tak, z powodu polskiej prezydencji. Niby prezydencja nie znaczy już zbyt wiele; niby to funkcja rotacyjna i każde z 27 państw Unii ma swoje miejsce w kolejce; niby to tylko organizowanie prac a nie wiążące decyzje...

Tyle, że ja pamiętam czasy, kiedy o tym, by za naszego życia Polska mogła przewodzić Unii nikt nawet nie marzył. Inny to był świat i inna była też Unia, która zresztą wcale nie nazywała się Unią lecz Europejską Wspólnotą Gospodarczą. A Polska umieszczona po drugiej stronie żelaznej kurtyny była satelitą niesławnej pamięci ZSRR.

Lekceważyć znaczenia polskiej prezydencji nie warto. Według mnie najważniejsze są trzy obszary jej realnego oddziaływania. Po pierwsze prezydencja stanowi symboliczne potwierdzenie naszego miejsca – i o tym sporo mówiono. Nie zwrócono natomiast uwagi na to, że prezydencja będzie ważnym sprawdzianem – a zarazem lekcją – dla polskich urzędów. Zarówno tych najwyższego szczebla, czyli rządu, jak poziomów niższych, choćby wojewódzkich.

Po trzecie wreszcie prezydencja stwarza szansę na przyspieszoną edukację europejską Polaków. Jest okazją, byśmy przestali widzieć Unię tylko jako bogatą ciotkę, która wedle humoru otwiera sakiewkę i pozwala zaczerpnąć trochę grosza. Od polityków i dziennikarzy zależy, czy rzeczywiście zagoniony Kowalski dowie się, o co w Unii chodzi. Bo przecież chodzi o sprawy ważne: o naszą teraźniejszość i przyszłość. Czy będziemy zamożni i bezpieczni? Czy reszta świata będzie się z nami liczyć? Czy nasza kultura będzie w dalszym ciągu wzorem dla innych, czy też raczej to my, Europejczycy, będziemy naśladować wzory wypracowane gdzie indziej?

Żadnej czarodziejskiej różdżki nikt nie posiada. Kiedyś mówiło się, że w Unii przepchnąć można każdą decyzję pod warunkiem, że Niemcy i Francja są za. Teraz się tak nie mówi, choć siła wpływu dwu kolosów jest w dalszym ciągu ogromna. Zwłaszcza Niemiec, które po zjednoczeniu stały się najludniejszym i najbogatszym państwem Unii. Problem w tym, że w Berlinie i Paryżu narasta sceptycyzm.

Uzyskać porozumienie 27 stolic wymaga politycznej ekwilibrystyki. Przecież każde z tych państw ma różne doświadczenia historyczne i różne interesy. Tu rządzi prawica, tam lewica, w dodatku są to barwy polityczne w rozmaitych odcieniach. Gigantycznym koktajlem piekielnie trudno kierować. A komu się roi, że utrzyma z tej mozaiki jednolity kogel-mogel, ten chyba upadł na głowę. Szwedzi mogą pokochać pizzę, ale nie rozumieją czym dla Włochów

jest quasi instytucja kierującej rodziną mammy. Niemcy uwielbiają francuskie filmy, a i tak nie chcą oglądać ARTE, choć telewizja ta jest ich wspólnym projektem i od 20 lat nadaje w dwu językach. Litwini stale jeszcze obawiają się polskiej dominacji, Rumuni narzekają na Węgrów, zaś Francuzi nazywają Brytyjczyków fałszywymi Europejczykami i perfidnym Albionem.

Cała sztuka, żeby napięcia ułożyć w stymulującą rywalizację i zapobiec niszczącym konfliktom. Szczególnie teraz, gdy kryzys daje pole do gry na siebie, zgodnie ze starą zasadą "ratuj się kto może".